

**teatr polski
bydgoszcz**

**materiał
konferencyjny**

Balladyna. Wojna wewnętrzna

**reżyseria
Justyna Łagowska**

**3 kwietnia 2018
Bydgoszcz**

premiera
6 kwietnia godz. 19.00
Duża Scena TPB – spektakl kameralny

Terminy popremierowe spektaklu:

7 kwietnia, godz. 12.00
11 kwietnia, godz. 10.00 i 19.00 [**premiera studencka g. 19.00**]
12 kwietnia, godz. 19.00 [**premiera belferska**]
13 kwietnia, godz. 19.00
14 kwietnia, godz. 19.00
15 kwietnia, godz. 16.00

Juliusz Słowacki

Balladyna. Wojna wewnętrzna

reżyseria, scenografia i światła

Justyna Łagowska

adaptacja i współpraca dramaturgiczna

Szymon Adamczak

muzyka

Robert Piernikowski

choreografia

Milena Czarnik

wideo

Tomek Michalczewski

pedagog teatru

Agnieszka Szymańska

asystentki scenograficzne

Kaja Gawrońska i Sandra Stanisławczyk

asystent reżysera i inspicjent

Adam Pakieła

występują

Alicja Mozga

Dagmara Mrowiec-Matuszak

Martyna Błajda/Maria Noela Puto

Andrzej Jakubczyk

Paweł Paczesny

Jakub Ulewicz

Marcin Zawodziński



„Balladyna. Wojna wewnętrzna” w reżyserii Justyny Łagowskiej to zupełnie nowa muzyczna realizacja, mającego niemal dwieście lat, dramatu Juliusza Słowackiego.

Czy tekst, który powstał tak dawno, jest nadal aktualny? Czy dramat, który wystawiany był już tyle razy, można przedstawić w zupełnie nowy, nieoczywisty sposób?

Na te i inne pytania, w nowej produkcji Teatru Polskiego w Bydgoszczy, próbują odpowiedzieć twórcy spektaklu. Przyświeca im jeden cel – przedstawić losy Balladyny w taki sposób, aby były one zrozumiałe dla młodego widza a jednocześnie nawiązywały do problemów, z którymi młodzież boryka się na co dzień. Nie zabraknie więc wątku rywalizacji między rówieśnikami, manipulacji czy życia, które młodzi ludzie prowadzą w mediach społecznościowych.

Spektakl reżyseruje oraz odpowiada za koncepcję scenograficzną i oświetleniową **Justyna Łagowska** - scenografka, autorka kostiumów, reżyserka świateł. Stworzyła ponad 60 scenografii w teatrach polskich i niemieckich, współpracowała m. in. z Remigiuszem Brzykiem, Markiem Fiedorem, Janem Klatą, Michałem Kmiecikiem, Nikolażem Koladą, Piotrem Kruszczyńskim, Pawłem Łysakiem, Wiktorem Rubinem. W czerwcu 2015 debiutowała reżyserując „Alicję. Pod żadnym pozorem nie idź tam” M. Kmiecika w Teatrze im. A. Fredry w Gnieźnie.

Muzycznej aranżacji dramatu Słowackiego podjął się **Robert Piernikowski**, szerzej znany publiczności jako współtwórca zespołu „Syny”. Za adaptację tekstu i wsparcie dramaturgiczne odpowiada **Szymon Adamczak**. Choreografię przygotowała **Milena Czarnik**, która od 2005 roku pracuje jako choreograf w teatrach dramatycznych, wcześniej była aktorką i tancerką m.in. gdańskiego Teatru Dada von Bzdülów i Teatru Miejskiego w Gdyni. Jako choreograf pracuje także przy produkcji wideoklipów (m.in. Blenders, Crew, IRA) oraz pokazów mody (m.in. Michała Starosta). Za nagrania i materiały filmowe odpowiada **Tomasz Michalczewski**, współpracujący wcześniej m.in. z Krystianem Lupą, Moniką Strzępką, Justyną Sobczyk. Na rynku filmowym reżyseruje internetowe filmy reklamowe, tworzy animacje, zdjęcia i efekty specjalne m.in. dla Netflix Polska.

Równoległe do trwających prób do spektaklu zaprosiliśmy młodzież w wieku od 13 do 17 lat na bezpłatne warsztaty teatralne, cykl #GRAMY(Z)BALLADYNĄ. Mapę praktycznych działań kontekstowych, pozwalających wejść lub pobyc jeszcze dłużej w świecie znad Gopła, przygotowała i prowadzi **Agnieszka Szymańska** – pedagog teatru. Dwa pierwsze spotkania odbyły się 23 i 24 marca, a na kolejne zapraszamy 4 i 5 kwietnia.

„Zazdrozczę tej, co dzisiaj rano mną była”

Jak szybko się zmieniamy? W czym nasze zmiany się przejawiają? Jaki tworzymy obraz siebie? Podczas warsztatów skonfrontowaliśmy dylematy bohaterów dramatu z dzisiejszym światem nastolatków. Z pomocą nowych technologii budowaliśmy i rozczytywaliśmy autokreacje bohaterów Słowackiego oraz własne.

termin: 23 marca godz. 16.30

czas trwania: 2h

liczba osób: 16

Songji ze Słowackiego

Rytm oraz muzyczność dramatu Słowackiego jak i sam tekst „Balladyny” posłużyły nam jako punkt wyjścia do tworzenia własnych wypowiedzi muzyczno - performerskich. Opowieści o młodych i ważnych dla nich sprawach. Do udziału w działaniu nie były konieczne umiejętności oraz doświadczenie muzycznie lub teatralne, lecz chęć zabrania głosu.

termin: 24 marca godz. 16.00

czas trwania: 2h

liczba osób: 16

„Balladyna. Wojna wewnętrzna” - zaproszenie dla młodzieży do bezpłatnego udziału w próbie generalnej oraz warsztatach po spektaklu.

Zapraszamy licealistów, którzy jako pierwsi mają ochotę poznać interpretacje dzieła Słowackiego oraz w działaniach warsztatowych wyrazić opinie o spektaklu.

Liczba miejsc ograniczona. Decyduje kolejność zgłoszeń.

termin: 4 i 5 kwietnia

na każdą próbę /warsztat liczba osób 16.

czas trwania warsztatu: 1 h

(NIE)POCHOWANY

Paweł Schreiber

Fragment programu przygotowanego do spektaklu „Balladyna. Wojna wewnętrzna”

Nie wiadomo, skąd taki tytuł, prawda? Przecież nietrudno wybrać się do Krakowa, pójść do wawelskiej katedry i zobaczyć na własne oczy wyjątkowo solidny sarkofag, w którym narodowy wieszcz, Juliusz Słowacki, spoczywa sobie spokojnie, nikomu nie sprawiając kłopotów, od roku 1927. Spróbuję jednak wyjaśnić, dlaczego to spokój pozorny.

W liście do matki z 15 września 1830 roku Juliusz Słowacki opisuje swoją wycieczkę w towarzystwie Tomasza Potockiego do majątku starzejącego się Juliana Ursyna Niemcewicza. Na spotkanie z tą żywą legendą bardzo się cieszył („Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo”¹), ale miał też powody do obaw, bo podobno „Niemcewicz, przez kobiety popsuty, bardzo się zrobił kapryśnym”². Pierwsze wrażenie było rzeczywiście niezbyt dobre. Niemcewicz „zaczął rozmowę o Wilnie rąbiącym tonem Jana Śniadeckiego”³, a Słowacki przestraszył się, że być może przyjechał do Ursynowa tylko po to, aby takim mądrościom potakiwać. Rozmowa się na szczęście szybko skończyła, bo Niemcewicz poszedł się przebrać, a Słowacki zabrał się za zwiedzanie wsi. I podziwianie stabilizacji, jaką na starość, po pełnym przygód życiu, zapewnił sobie jej właściciel. Niemcewicz poświęcił się pasji ogrodniczej i cała posiadłość przypominała właśnie ogród – jak nakazywała moda, odpowiednio zapuszczony i „bardziej do dzikiego lasu podobny”. Na rozrzuconych gdzieniegdzie łączkach pasła się jedyna krowa Niemcewicza (przychód: dwa złote na tydzień). Słowacki i Potocki zatrzymali się wreszcie w małej altance, w której Niemcewicz prowadził nierówną walkę ze swoimi wielbicielami – oni

¹ J. Słowacki, „List do matki, Warszawa, 15 września 1830”, w: J. Słowacki, „Dzieła”, red. J. Krzyżanowski, t. XIII – „Listy do matki”, red. Z. Krzyżanowska, wyd. III, Wrocław: Ossolineum 1959, s. 8.

² Ibid.

³ Ibid.

wypisywali na ścianach wierszyki na jego cześć, a on je przez skromność zdrapywał. Ta idylla zrobiła na Słowackim duże wrażenie – również dlatego, że nagle przeczuł, że nic takiego go w życiu nie czeka. Kiedy Potocki zapytał, dlaczego tak pobladł, Słowacki odpowiedział: „szczęśliwy, kto może pisać jak Niemcewicz słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem; szczęśliwy odpocznie na starość w tak cichym domku, wtenczas gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie”⁴. Ponura chwila minęła szybko, bo Niemcewicz wezwał swoich gości do domu. Obok dostojnego starca kręciły się dwie małe dziewczynki, córki jego kamerdynera. Słowacki pisze: „Jedna z nich przy gościach kilka razy mu mówiła: «Pan jesteś tak głupi jak ja». A stary z uśmiechem przyjmował ten grzeczny komplement”⁵.

Nie sędzę, żeby Słowacki rzeczywiście zazdrościł Niemcewiczowi, żeby chciał pisać „słodko i przyjemnie” i być bohaterem narodowym za życia pogrzebanym w pięknym ogrodzie nawiedzanym przez fanów wypisujących pochwalne wierszyki na ścianie altany. Był w tej wizji jakiś zgrzyt, jakieś przeczucie, że zaraz to wszystko się skończy, jak zabawa córeczek kamerdynera w dom. Dwa i pół miesiąca później, kiedy wybuchło Powstanie Listopadowe, wywleczony z łóżka pan na Ursynowie dołączył do Rady Administracyjnej, po czym wyruszył z misją dyplomatyczną za granicę i już nigdy nie wrócił do takiego czy innego domu. Zmarł w Paryżu, został pochowany w kościele św. Marcina w Montmorency. Przez jakiś czas spoczywał w dobrym towarzystwie gen. Kniaziewicza pod okazałą rzeźbą przedstawiającą anioła z dłońmi opuszczonymi nad głowami dwóch leżących dostojnie polskich bohaterów, jakby pilnował, żeby przypadkiem nie wstali. Ale nawet tę bezpieczną przystań, mimo wysiłków anioła, wzięli diabli – ze względów politycznych Niemcewicz musiał wraz z Kniaziewiczem przenieść się na pobliski cmentarz, pod skromną kamienną płytę. A więc najpierw przepadła krowa przynosząca dwa złote na tydzień, a potem nawet strzegący grobu anioł. Może Słowacki trochę nie docenił Niemcewicza (którego w „Kordianie” nazywał

⁴ Ibid., s. 9.

⁵ Ibid.

eunuchem Muz) – w końcu okazało się, że, pan Ursynowa, jak prawdziwy buntownik, nie mógł ani usiedzieć, ani uleżeć w miejscu.

Słowackiemu trafił się dużo okazalszy i solidniejszy grób. I, oczywiście, dużo bardziej widowiskowa ekshumacja. Sprowadzenie zwłok Wieszcza do Ojczyzny w roku 1927 było narodowym widowiskiem – najpierw trumna płynęła statkami (przez morze i w górę Wisły), a potem odcinek z Warszawy do Krakowa pokonała pociągiem, wszędzie pozdrawiana przez wylegające na jej trasę tłumy. W końcu wypełniliśmy swój obowiązek – pochowaliśmy Słowackiego w krypcie wawelskiej tak pięknie i solidnie, że nie ma się już jak wydostać, nawet w noc Zmartwychwstania, kiedy, jak pisał Wyspiański w „Akropolis”, po Wawelu chodzą sobie swobodnie rzeźby nagrobne z katedry i postaci z arrasów. Potem pochowaliśmy Słowackiego w kulturze – na liście obowiązkowych lektur szkolnych stał się dla wielu kolejnym nudziarzem, o którym nie wiadomo, „jak zachwyca, jeśli nie zachwyca”.

Można powiedzieć, że ze Słowackim próbowaliśmy robić to samo, co z Balladyną w epilogu dramatu. Wypytywany przez wzburzoną publiczność narodowy dziejopis Wawel przedstawia odpowiednio wygładzoną, prostą wykładnię jej historii, bez kontrowersji czy paradoksów - za to ze sporą liczbą bzdur, przekłamań i tanich, ale podnoszących na duchu banałów. Znamy sporo takich dziejopisów, którzy za wszelką cenę starają się zlikwidować wszystkie problemy, ciemniejsze strony i niejasności wielkiej, narodowej historii, tak, żeby można ją było pięknie złożyć w wawelskiej katedrze albo na Powązkach i zasypywać okolicznościowymi wieńcami.

Ale im bardziej człowiek się wczytuje w Słowackiego, tym bardziej rozumie, że nie da się go wygładzić, uspokoić i pogrzebać choćby pod kilkoma tonami pięknego marmuru. Kiedy poniesie go wyobraźnia, staje się absolutnie nieprzewidywalny i niebezpieczny dla wszystkich, którzy pragną świętego spokoju. „Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o piekle” to opowieść, w której polski szlachcic wciąż balansujący na granicy między trzeźwością a pijaństwem, rusza w deliryczną podróż na dno piekieł, wyposażony tylko w odrąbane głowy swoich synów, którymi rzuca w

napotkanych potępieńców. W „Anhellim” polscy zesłańcy postanawiają na Syberii urządzić narodowy konkurs, w którym wygrywa ten, kto najdłużej wytrzyma cierpiąc na krzyżu: „I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane, i przybito im ręce ćwiekami; a ten, co był na prawo, krzyczał: równość! a ten co był z lewej, krzyczał: krew! wiszący zaś pośrodku mówił: wiara!”⁶. Trudno chyba o boleśniejszą i bardziej jadowitą diagnozę Polski – nie tylko z czasów zaborów.

Co wreszcie zrobić z „Balladyną”, utkaną z poznajdowanych tu i tam, a potem przetworzonych w dość dowolny sposób strzępków Szekspira, polskiej historii i polskich legend? To tekst mieszający konwencje i tony, przeskakujący beztrąsko od śmiertelnej powagi do wygłupów i z powrotem, niedający się ani łatwo streścić, ani zrozumieć. To, najkrócej mówiąc, radykalny remiks, który z każdym odczytaniem może zmieniać swój kształt.

W swoich pismach mistycznych, takich jak „Genezis z Ducha” czy „Samuel Zborowski”, Słowacki zbudował skomplikowaną filozoficzną syntezę wszystkich elementów rzeczywistości, jakie tylko przychodziły mu do głowy – od podstawowych praw fizyki, poprzez biologiczną ewolucję, po historię cywilizacji i kultury. Wszystkie były dla niego przejawami rozwoju Ducha i wszystkie łączyła podstawowa zasada – kiedy tylko jakaś forma, w którą wcielał się Duch, dożywała spokojnej starości i osiadała na laurach, czekał na nią nie dworek z pięknym ogrodem, nie piękny i ciężki sarkofag, w którym można się dobrze zakonserwować i wyspać za wszystkie czasy, tylko brutalne rozsadzenie, śmierć starego kształtu i bolesne narodziny nowego. Najgorszymi wrogami Ducha są ci, którym, jak Zamoyskiemu w „Samuelu Zborowskim”, marzy się świat, gdzie wszystko jest, jak było, a przeszłość jest od tego, żeby się nad nią z pietyzmem pochylać.

Co więc dziś zrobić z tym Słowackim, który marzy o niszczeniu tego, co było i eksperymentowaniu z tym, co może być? Rozbijać stare kształty, czytać go na przekór

⁶ „J. Słowacki, Anhellim” w: „J. Słowacki, Dzieła”, red. J. Krzyżanowski, t. II – „Poematy”, red. E. Sawrymowicz, wyd. III, Wrocław: Ossolineum 1959, s. 267.

temu, jak się go czytało wcześniej, szukać w nim nie szanowanego wieszczą spoczywającego na Wawelu, tylko wciąż młodego i wciąż przekornego głosu, który w żadnym grobie spokojnie nie usiedzi. Trzeba mu tylko trochę pomóc, bo wawelski sarkofag, który ma stary dobry świat przed nim chronić, jest straszliwie ciężki. Słowacki na Wawelu jest w takiej sytuacji, jak powstańcy listopadowi w „Anhellim”: „Oto zmartwychwstali, lecz nie mogą odwalić mogiły!”⁷.

⁷ Ibid., s. 261.